

Oto opowieść o miłości,
która maluje świat
kolorowymi farbami!

GOOD BOYS GO TO Heaven

C.S. RILEY

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/goodbo>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8243-5

Copyright © C.S. Riley 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Prolog

Był moim azylem — bezpiecznym miejscem pośród chłodu domu. Zagubiłam się w tych uczuciach, one przejmowały kontrolę nad osobą, którą myślałam, że jestem. Nad dziewczynką, którą znałam. Obserwowaliśmy, jak nasze młode serca usychają, złamane przez młodzieńcze zauroczenie, ponieważ nigdy nie rozumieliśmy nieuchwytności tego, co mieliśmy.

Przyszłość wyslizgnęła nam się z rąk. Złapana w ciszę jak ja, zagubiona w przestrzeni. Byliśmy zbyt uparci, by walczyć o to, co do siebie czuliśmy, bo w głębi duszy pozostawaliśmy samotnymi dziećmi.

Stworzyły nas demony strachu i to one nas unicestwią. Bo właśnie tym dla siebie byliśmy — destrukcją.



Rozdział 1.

Wpatrywałam się w boleśnie znajomy widok za oknem: kolorowe wzgórza, wysokie palmy, przepych miasta. Ulice Los Angeles powinny być nasycać mnie poczuciem przynależności. Uczuciem bycia w domu.

Więc dlaczego czułam pustkę?

Kiedyś *to* — powrót tutaj, nawet jeśli rzeczywistość spowijała mgła — było wszystkim, czego pragnęłam. Bo człowiek, którego tu zostawiłam, wydawał się tego wart. Zbyt dużo czasu zmarnowałam na nastoletnie rozterki, za późno zorientowałam się, że w niektóre miejsca zwyczajnie nie da się wpasować. Nasza natura na to nie pozwalała. Nie potrafiliśmy ujarzmić samych siebie. Przez lata dusiłam się pod kloszem i ciągle właśnie tam wracałam: do tej złotej klatki.

— Leah, słuchasz mnie? — rozbrzmiał głos mojego brata.

Zamrugałam zdezorientowana.

Leo przewrócił oczami, gdy zauważył, że myślami byłam daleko.

— Pytałem, co chcesz dziś robić.

— Nic? — Uniosłam brew.

— Po tak długim czasie wróciłaś na stałe do Kalifornii i to jest twój plan? — Zaśmiał się, nim włączył kierunkowskaz.

Byliśmy coraz bliżej. Gorąco, które nie miało nic wspólnego z temperaturą za oknem, oblewało moją skórę. Jakaś iskra we mnie miotła się w poszukiwaniu ucieczki. Tylko ona została. Ogień już dawno zgaszono, ale ta iskra tliła się, ponieważ ja wciąż się nie poddawałam.

— Tak, Leo. — Westchnęłam, zakładając włosy za ucho. — Chcę po prostu, no nie wiem... Przyzwyczaić się do tego wszystkiego?

— Do czego? — zapytał, co oznaczało, że naprawdę nie ma pojęcia, o co chodzi. — To twój dom.

Nie. To nie był mój dom. Nawet nie był temu bliski.

— Zwyczajnie muszę się przespać — mruknęłam. Z trudem powstrzymałam się przed przyjęciem obronnego tonu. Chciałam, żeby Leo mnie rozumiał. Żeby nie musiała ukrywać przed nim swoich demonów. — Przeprowadzka i lot dały mi w kość.

Mimowolnie zacisnęłam pięści, wbijając paznokcie w skórę, gdy samochód zwolnił. Patrzyłam na dwupiętrowy dom, na te kamienne ściany z dodatkami drewna, i o mało nie straciłam panowania nad sobą. Nic się w nim nie zmieniło. Budynek z mojego dzieciństwa wpisany w obrazek idealnej rodziny, do której nie pasowałam. Sięgając do klamki drzwi auta, zauważyłam na wewnętrznej stronie dłoni czerwone półksiężyce. Były jedyną widoczną oznaką paniki, która mnie ogarniała.

Gdy tylko wysiadłam, zaatakowało mnie ostre kalifornijskie słońce. Temperatura w Kanadzie o tej porze roku znacznie różniła się od tej, z jaką miałam do czynienia tutaj — zamiast dwudziestu kilku stopni tam było minus dziesięć. Przyjemny wiaterek nie mroził mi policzków, tylko szarpał moimi włosami, podczas gdy starałam się zapanować nad dziwnym uciskiem w klatce piersiowej.

Leo wyjął z bagażnika moje walizki i podał mi klucz, mówiąc — o ironio! — żebym przywitała się z *domem*. Zupełnie nie miał pojęcia, że właśnie na nowo przeżywałam swój koszmar. Weszłam do budynku jak człowiek idący na ścięcie: powoli i ostrożnie. Coraz trudniej mi się oddychało. Szybko uświadomiłam sobie, że mam atak paniki. Znów wkraczałam w świat, w którym urządzano szopki. Świat sztucznych uśmiechów i usilnych starań, by wpasować się w towarzystwo. A byłam tutaj nie dlatego, że chciałam, ale po to, by spełnić oczekiwania innych.

Ściany napierały na mnie z każdej ze stron. Odnosiłam wrażenie, że przebywam w izolatce. Instynktownie ruszyłam na piętro, gdzie niezgrabnie uchyliłam drzwi do swojej sypialni. Nie zmieniło się tu nic i jednocześnie zmieniło się *wszystko*. Szare ściany, białe meble i znajdujące

się na środku pomieszczenia duże łóżko — zero zdjęć, rysunków czy czegokolwiek, co przypominałoby o mojej przynależności do tego miejsca. Nogi zaczęły mi ciążyć. Nie mogłam nabrać powietrza.

Ominięłam puchowy dywan i wypadłam na balkon z widokiem na basen w ogrodzie. Chwyciłam się barierki jak koła ratunkowego. Bezskutecznie szukałam drogi powrotnej z szalejącego we mnie chaosu. Znalazłam jedynie labirynt poplątanych nici. Z paniką wodziłam wzrokiem po idealnie przyszytych krzewach, póki nie dostrzegłam wyrwy w płocie. Wtedy przeszłość powróciła do mnie w krótkich klatkach filmowych. Przypomniałam sobie, jak wymykaliśmy się *razem* przez dziurę, którą wygryzł pies sąsiadów. Uciekaliśmy tak przez kilka lat, aż w końcu staliśmy się na to zwyczajnie za duzi.

Napełniałam płuca tlenem, co okazało się bolesne. O mało nie upadłam z powodu ulgi, która mnie ogarnęła. Spuściłam głowę, oparłam jej ciężar na ramionach i wzięłam się w garść w chwili, gdy w sypialni pojawił się mój brat.

— Możemy zamówić jakieś jedzenie, co ty na to? — odezwał się, kładąc moje bagaże na podłodze. — Rodzice nie wrócą z delegacji do przyszłego tygodnia, tak że jesteśmy skazani na siebie.

Posłał mi łagodny uśmiech, przez co poczułam lekkie wyrzuty sumienia. Choć nasza relacja była ciepła, przez lata czułam do niego cichy żal. A może to była zazdrość?

Leo był idealnym synem, przyjacielem, futbolistą oraz uczniem: spełnieniem marzeń rodziców. Z kolei ja łaknęłam adrenaliny, niebezpieczeństwa i tych szarych oczu, które zostały mi skradzione. Byłam problemem.

— Okej, meksykańskie — zgodziłam się po chwili świadoma, na co będzie miał ochotę.

Wspólne jedzenie żarcia na wynos było naszym zwyczajem.

Udałam się pod prysznic, gdy Leo telefonicznie składał zamówienie.

W łazience panowała sterylna czystość. Widząc spore zapasy płynów i soli do kąpieli oraz mydeł, domyśliłam się, że gospośnia miała w tym swój udział. Moja matka nie kłopotaby się takimi sprawami. Para zawisła

w powietrzu, kiedy gorąca woda obmywała moje ciało. Bez przerwy przekręcałam kurek, zwiększając temperaturę, aż moja skóra poczerwieniała i zaczęła piec.

Obwiązana puszystym ręcznikiem przetarłam papierem lustro. Nie przypominałam trzynastoletniej dziewczynki, którą zostawiłam w tym domu — już nią nie byłam.

Sądziłam, że mój powrót będzie się równał z natychmiastowym wzniciem wewnętrznego buntu. A odnalazłam w sobie jedynie popłoch i strach przed tym, co nadejdzie. Bałam się, że *ona* całkowicie mnie zniszczy — to, co mnie definiuje.

Wpatrywałam się przez chwilę w swoje odbicie. Niegdyś długie włosy zafarbowalam i skróciłam pod wpływem chwili; teraz kończyły się tuż nad ramionami. Oczy w kolorze whisky pasowały do mojej jasnej karnacji — kanadyjski klimat sprawił, że straciłam zwyczajową opaleniznę. Spojrzałam na lśniące kółko w moim nosie i na drobne tatuaże na rękach, wcześniej skryte pod długim rękawem bluzki. Świadomość, że *jej* się nie spodobają, przekonała mnie do tego, by je zrobić. To był mój osobisty protest przeciwko kanonowi piękna uznawanemu przez moją matkę.

Nie byłam idealna i nigdy taka się nie stanę.

Boso zesłam po schodach, gdy Leo akurat płacił dostawcy. Naciągnęłam rozkloszowane rękawy, upewniając się, że zasłaniają tatuaże; może nie były liczne ani duże, ale z pewnością zauważalne. Na razie nie miałam ochoty mierzyć się z żadnymi pytaniami. Choć wątpliwe było, że nadejdą ze strony brata — nigdy mnie nie oceniał.

Niepewnie usiadłam na skórzanej sofie w salonie, po czym chwyciłam pilota od telewizora. Westchnienie opuściło moje usta. Czułam się cholernie obco w domu, w którym mieszkałam przez blisko czternaście lat. Póki nie zostałam odesłana. Zaciśnęłam zęby na samo wspomnienie tej gorzkiej prawdy.

Leo zajął miejsce tuż obok mnie i podał mi pudełko.

— Jesteś dziwnie milcząca — powiedział, kiedy zajmowałam się odpakowywaniem jedzenia. — To nie pasuje do wiecznie nabuzowanej energii Leah.

Parsknęłam lekko rozbawiona.

— Tamta Leah miała niespełna czternaście lat — mruknęłam, a potem włożyłam do ust pierwszy kęs ostrego kurczaka. — Trochę się zmieniło w ciągu tych czterech lat, braciszku.

Wszystko uległo zmianie.

Przez kolejne kilka minut pomieszczenie wypełniały szcęk sztucców i odgłosy dobiegające z telewizora. To było surrealistyczne: siedzenie w pokoju z Leo, którego wcześniej widywałam jedynie w świąta.

— Cieszę się, że wróciłaś. — Uśmiechnął się chwilę później.

Prawie żałowałam, że nie mogę powiedzieć tego samego. Z zakłopotaniem odwzajemniłam uśmiech i wstałam, żeby wyrzucić puste opakowanie po jedzeniu. Pchnęłam wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni. Tam pozbyłam się śmieci i wsparłam się o ścianę, czując słabość mięśni.

— Idę się zdrzemnąć — oznajmiłam głośno, nim ruszyłam na piętro. — Wyjdź ze znajomymi czy coś. Nie przejmuj się mną, bo dziś i tak nie jestem duszą towarzystwa.

Weszłam do swojej sypialni i zamknęłam drzwi, a potem się o nie oparłam. Wszędzie wały się kartony; dotarły tu kilka dni wcześniej. Walizka z ubraniami leżała otwarta. Z torby służącej mi za bagaż podręczny wystawały szkicowniki. Przeczesałam włosy palcami, po czym zabrałam się za układanie rzeczy, byle odgonić jakoś natrętne myśli. Szkoda, że równie łatwo nie mogłam uporządkować bałaganu, jakim było moje życie.

Parę następnych godzin spędziłam, rozpakowując się, mimo że pragnęłam uciec jak najdalej stąd. Skończyłam dopiero wtedy, gdy niebo spowiła ciemność.

*So open your eyes and see
The way our horizons meet
And all of the lights will lead
Into the night with me*

Przy akompaniamencie płynącej z telefonu piosenki Eda Sheerana wyszłam na balkon.

Nie byłam pewna, co konkretnie czuję. Żal już dawno zamienił się we wściekłość. Zniknęła młodzieńcza naiwność. Momentami ogarniało mnie nienaturalne otepienie i wydawało mi się, że jestem cholernie wyprana z emocji. Ale były też chwile, gdy nie potrafiłam ogarnąć chaosu uczuć, które miałam w sobie. Mimo że stłumiłam będącą niegdyś zapalnikiem złości, ona wciąż chowała się gdzieś głęboko we mnie. Czekala na odpowiedni moment, by wybuchnąć.

Złapałam za wystający fragment dachu i postawiłam stopę na kamiennym balustradzie. Dzięki podparciu łatwiej mi było podciągnąć się w górę prosto na gładkie dachówki. Z tej perspektywy wszystko wydawało się odległe. Prawie uwierzyłam, że znajduję się w kompletnie innym miejscu. Właśnie tak robiłam przez całe dzieciństwo: udawałam, że mnie tu nie ma, i wypatrywałam na gwieździstym niebie konstelacji. Póki moje powieki nie robiły się ciężkie, a panujący w głowie chaos się nie uspokajał. Wsparłam łokcie na kolanach i mimowolnie potarłam tatuaż na karku — trójkątny rysunek przedstawiający gwiazdy i księżyc.

Ryk silnika przerwał moje rozmyślania. Z łatwością podciągnęłam się wyżej, żeby sprawdzić, co się dzieje po drugiej stronie podwórka.

Moment później wiedziałam, że oddałabym wszystko, by tego nie zrobić. Cofnęłabym czas, byleby nie zobaczyć zsiadającego z motocykla chłopaka. Nawet po czterech latach, w słabym świetle latarni, nie miałam wątpliwości, w kogo się wpatruję.

W człowieka, który zostawił mnie z niczym, mimo że sama poświęciłam dla niego wszystko.

And I know these scars will bleed

But both of our hearts believe

All of these stars will guide us home

Zbliżenie się do niego nie było błędem, ale założenie, że też jestem dla niego ważna, już tak. Młode serce ostatecznie zrozumiało, że oddanie

było zgubne. Kiedyś sprawiał, że czułam się wyjątkowa. Teraz zmienił się w widmo przeszłości, które siało spustoszenie w mojej głowie. Nauczyłam się z tym żyć i myślenie o nim nie wywoływało już we mnie obezwładniającego bólu.

W końcu zrozumiałam, że Isaac Cloney jest dla mnie nikim.



Rozdział 2.

Pokonywałam długość basenu raz za razem, aż ramiona zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Ból promieniował wzdłuż moich pleców, gdy wynurzyłam się na powierzchnię i rzuciłam na kafelki okulary do pływania. Palenie w płucach stopniowo ustawało.

Z westchnieniem odgarnęłam mokre włosy, nim wyszłam z wody. Moje ciało ogarnął chłód wywołany gwałtowną zmianą temperatury, przez co przeszły mnie ciarki. Pospieszenie owinęłam się ręcznikiem i czym prędzej schowałam w domu.

— Najwyraźniej naprawdę wiele się zmieniło — mruknął Leo, zbiegając po schodach. — Kto by pomyślał, że Leah Preston jest ranym ptaszkiem.

Kątem oka obserwowałam brata trzymającego sportową torbę. Moment później sięgnęłam po butelkę soku.

— Bezsenność — wymamrotałam bez zastanowienia, co sprawiło, że Leo skoncentrował na mnie spojrzenie.

— Jak wielka?

— Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić — skłamałam szybko.

Brałam leki z nielegalnego źródła, bo psychiatra był ostatnią osobą, którą chciałam widzieć. Bez nich brak snu potrafił mi doskwierać przez wiele dni, aż w końcu w jednej chwili odpływałam i spałam nieprzerwanie. Mimo to starałam się ograniczać pigułki i sięgać po nie tylko w wyjątkowych sytuacjach.

— Muszę iść na trening, ale myślałem, żeby sprowadzić wieczorem kilku znajomych — poinformował Leo, przez co zacisnęłam palce

na butelce. — Poznałabyś niektórych, nim przyjdiesz do szkoły w kolejny poniedziałek.

— Jasne — potaknęłam, choć miałam ochotę przeklinać wniebogłosy.

Nie chciałam nikogo poznawać. A przede wszystkim nie chciałam widzieć jego.



Życie w mroźnej Kanadzie przyzwyczało mnie do zimna. Temperatura w Kalifornii wydawała mi się o wiele wyższa niż w rzeczywistości. Bez przerwy było mi gorąco.

Złożyłam na nowo rozmontowaną sztalugę, zanim niechętnie otwierałam na oścież drzwi balkonowe, wpuszczając do pokoju skwar z zewnątrz. Zapach farb był dla mnie jak afrodyzjak. Niestety nie każdy podzielał tę miłość — dotyczyło to szczególnie pani tego domu. Stąd zapobiegawczo wietrzyłam pomieszczenie. Poplamionym prześcieradłem zabezpieczyłam podłogi, by ostatecznie skupić się na białym płótnie. To była najtrudniejsza część — rozpoczęcie czegoś nieopisanego.

Melancholijny głos Billie Eilish rozbrzmiewał w moich słuchawkach, kiedy po prostu wpatrywałam się w biel. Poszukiwałam tej iskry, która popchnie mnie do działania, i znalazłam ją w najgorszym z możliwych miejsc — w przeszłości. Zapętliałam piosenkę świadoma, że dzisiaj to ona będzie moim motorem napędowym.

Quiet when I'm coming home and I'm on my own

I could lie, say I like it like that, like it like that

Automatycznie zebrałam dłonią włosy, by spiąć je w niedbały kokczek. Moje ruchy były mechaniczne — wpadłam w znajomy malarski trans. Niewypowiedziane żale zaczęły we mnie wzbierać, gdy zmoczyłam jeden z pędzli w czarnej farbie.

Call me friend, but keep me closer

Pierwsze pociągnięcie było niczym otworzenie ledwo zagojonych ran, jakbym wbiła paznokcie w niezabliźnioną skórę, rozrywając ją na nowo. W którymś momencie odgarnęłam zbłąkany kosmyk z twarzy, przez co przypadkowo rozsmarowałam farbę na policzku.

But nothing is better sometimes

Once we've both said our goodbyes

Zagłębiłam się w tych uśpionych we mnie emocjach. Żal, smutek i gorycz, które udawało mi się tłumić, gdy byłam daleko stąd, teraz mieszały się ze sobą, wychodziły na wierzch. Na te kilka godzin pozwoliłam im przejąć nade mną kontrolę, póki znów nie otoczę się murem. Obserwowałam, jak puste płótno pokrywało się kolejnymi smugami farby: czerń przeplatała się z bielą, przechodząc w odcienie szarości. Byłam coraz bardziej umazana, a obraz zaczynał przybierać końcową formę.

Poruszenie za sztalugą wyrwało mnie z letargu. Pospieszenie wyjęłam słuchawki z uszu i skupiłam się na bracie.

— Nie próżnujesz. — Gwizdnął. — Mogę? — Wskazał płótno, na co potaknęłam.

Razem z nim wpatrywałam się w dłoń zaciskającą się na wręcz nie-naturalnie prawdziwym sercu. Nie był to łagodny obraz. Preferowałam realizm i wszystko, co się z nim wiązało: ból, cierpienie, wściekłość, brutalność. Z tym łatwo było się obchodzić.

— Już zapomniałem, jak wielki masz talent — oznajmił sekundę później Leo, przyglądając się mojej pracy z nieodgadnioną miną.

— Cóż, nic dziwnego — burknęłam z przekąsem. — Nie miałam tu zbyt wielu okazji, by ją realizować.

Odpowiedzią mojego brata było ponure milczenie.

Zaczęłam sprzątać powstały bałagan i zanosić pobrudzone rzeczy do łazienki.

— Będą tu za chwilę — powiedział Leo, kiedy składałam podniesiony z podłogi materiał. — Zejdziesz?

— A mam jakiś wybór? — Uniosłam kącik ust. — I tak będę musiała ich poznać.

Żadne z nas nie wypowiedziało *jego* imienia. Nie zapytałam, czy się pojawi, a Leo nie zainteresował się, czy *jego* obecność nie będzie mi przeszkadzała. Po prostu daliśmy tym niewypowiedzianym słowom zawisnąć między nami.

Nim zdążyłam ogarnąć bałagan powstały z pędzli, tubek i palet, na dole rozbrzmiał raban wywołany zapewne przyjściem znajomych mojego brata. Rzuciłam okiem na swoją wciąż upapraną twarz i opuszczałam pokój.

Nie miałam zamiaru nikomu imponować, a wołałam poznać tych ludzi, zanim na dobre rozsiądą się w salonie. Zdjęłam z włosów gumkę, rozplątując je, gdy niespiesznie schodziłam na parter. Korytarz wypełniał gwar przywitań i rozmów. Nieznajome osoby przemykały dookoła, a jedynie, co dostrzegałam, to mięśnie. Mnóstwo potężnych mężczyzn, jakby wyciągniętych z sesji zdjęciowych.

Powinłam się jakoś wewnętrźnie przygotować na *jego* widok — przemknęło mi przez myśl. Szybko przypominałam sobie jednak, że ten chłopak mnie nie obchodził — zamknęłam tamte drzwi, za którymi czały się stare emocje, kiedy odłożyłam pędzel. Isaac pozostawał wyłącznie odległym wspomnieniem.

Nie było *go*.

Jego nieobecność nie wywołała we mnie ani poczucia ulgi, ani zawodu. Chyba powinłam była coś czuć, ale znalazłam się na pustyni emocjonalnej.

Pierwszy zauważył mnie jeden z dwóch prawie identycznie wyglądających blondynów. Po uśmiešku na jego twarzy wnioskowałam, że jest tym gorszym. Tym sprawiającym więcej kłopotów. A ja trzymałam się od nich z daleka.

— Jasny gwint. — Zagwizdał, bezwstydnie taksując moje ciało, jakby obok nie stał mój brat. — Nie dziwię się Leo, że ukrywał przed nami taką ślicznotkę.

Uniosłam brew, patrząc, jak wędruje po mnie wzrokiem. Powstrzymałam chęć zdzielenia go w łeb.

— Ta ślicznotka ma oczy tutaj. — Wskazałam obszar z dala od moich cyków.

Nie żebym ułatwiała mu skupienie się na czymś innym, parując w staniku sportowym.

— Zaklepuję ją — szepnął przez ramię do swojego brata, jak gdybym nie stała trzy metry dalej.

Palant.

— Żebym ja ciebie nie klepnął — ostrzegł go Leo z grobową miną, unosząc pięść na wysokość obojczyka.

— Ta, ta. — Machnął dłonią nieznajomy. Nie wyglądał na przestraszonego. — Przedyskutujemy to później — rzucił mimochodem, nim ponownie na mnie spojrzał. — Jestem Nathaniel. Twój przyszły chłopak.

Dobiegło mnie parsknięcie.

— Niezły tekst, bracie.

— A ja jestem niezainteresowana. — Posłałam blondynowi prześlodzony i jakże ironiczny uśmiech.

Do akcji prędko wkroczył czaruś o kręconych włosach, postawnej sylwetce i z zawadiacką miną. Innymi słowy: następny pies na baby.

— Evan — przedstawił się, rzuciwszy przyjacielowi zwycięskie spojrzenie. Jakby moja niechęć tyczyła się wyłącznie Nathaniela.

— A ty? — zapytałam brata przygłupa, który jako jedyny nie próbował się do mnie przystawiać.

— Matthew.

— Miło mi. — Nie była to prawda, ale również nie całkowite kłamstwo. Czułam coś pomiędzy obojętnością a znudzeniem. — Na początek kilka prostych reguł. Najwyraźniej życie to nie książka i nie wyznajecie zasad moralnych typu: „młodsza siostra przyjaciela jest zakazana”. — Zerknęłam na dwójkę pseudoplayboyów. — No cóż, w takim razie ogłaszam, że jestem niedostępna. Najlepiej ignorujcie mnie w szkole, bo ja dla własnego dobra mam zamiar ignorować was. Oznaczacie kłopoty, a ja przez kolejne pół roku planuję trzymać się od nich z daleka.

Zapadła cisza, gdy obecni wpatrywali się we mnie z zainteresowaniem. Leo wydawał się zaskoczony moją chłodną postawą, ale się nie odezwał.

— Tak, trafiła nam się kolejna Hope Ciredman — podsumował Matthew z wyjątkowym zadowoleniem.

Zupełnie nie rozumiałam tego porównania. Nie miałam pojęcia, o kim mówił.

— Jesteś młodsza od Leo? — odezwał się Evan.

Oczywiście, że usłyszał tylko tyle.

— O rok — mruknęłam niechętnie. — Poszłam do szkoły w wieku sześciu lat, więc jesteśmy w jednej klasie.

Jessica Preston postanowiła, że jej dzieci wspólnie będą uczęszczały do placówki edukacyjnej, co ułatwi jej zajmowanie się nimi. Nie żeby przejawiała wiele ciepłych uczuć w stosunku do mnie.

— Czyli od nas o dwa lata — stwierdził Nathaniel. — Chodzimy na studia.

— Tym lepiej. — Wzruszyłam ramionami. — Jestem dla ciebie za młoda.

— Zakazana miłość. — Chłopak zamyślił się. — Kręci mnie ten dreszczyk emocji.

A mnie wręcz przeciwnie. *Już nie.*

— Upuścili go po porodzie czy coś? — zapytałam ironicznie jego bliźniaka, na co ten parsknął.

— Zastanawiam się nad tym od prawie dwudziestu lat — westchnął.

W odpowiedzi brat pokazał mu środkowy palec.

— Dalej nie zdradziłaś nam, jak masz na imię — zauważył Evan, który przyglądał mi się z niesłabnącym zainteresowaniem.

Moja postawa nie wydawała się nikogo zrażać. Wręcz przeciwnie: zebrani obserwowali mnie jeszcze uważniej. Z większą fascynacją. Pod ostrzałem spojrzeń nie usłyszałam, że ktoś właśnie wchodził do środka. Ta osoba najwidoczniej czuła się jak u siebie w domu i nie przejmowała się czymś takim jak dzwonek.

Przez te lata, które spędziłam w Kanadzie, przygotowywałam się na to spotkanie. Na jego widok. Ćwiczyłam w myślach przemowy, w których wygarniałam mu wszystko. Widziałam siebie płaczącą i krzyczącą, osądzającą go.

Ale w tej chwili nic takiego się nie stało. Bo *tego* już nie było — te emocje zniknęły, a zastąpiło je odrętwienie. Mój mur nawet się nie zachwiał, kiedy go dostrzegłam.

Planujemy w głowie swoje zachowania, ale ostatecznie nic nie idzie po naszej myśli, bo uczucia przejmują kontrolę nad rozumem. Okazuje się, że cierpienie jest w nas zakorzenione głębiej, niż myśleliśmy, i dajemy mu się ponieść. Teraz było inaczej. Mimo że kiedyś byłam gotowa na pełną emocji awanturę, w tym momencie udało mi się zachować spokój. Byłam całkowicie opanowana, ponieważ to, co było pomiędzy mną a Isaakiem, rozmyło się już dawno temu. Pogodziłam się z tym i przestałam sobie wmawiać, że może w innym świecie *on* również wybrałby mnie.

Na twarzy Isaaca przez chwilę widziałam szok, który jednak prędko minął i zastąpił go chłód. Zmienił się. Tatuaze pokrywały sporą część jego przedramion i nawet fragment szyi — miał ich więcej niż reszta chłopaków. Niegdyś opadające na oczy włosy zastąpiła modna fryzura z wygolonymi bokami i dłuższymi kosmykami na górze. Miał kolczyk w brwi. W żadnym stopniu nie przypominał dziecka, jakie zapamiętałam. Analizowałam każdy element jego wyglądu i dotarło do mnie jedno: cztery lata temu oddałam dla tego człowieka wszystko, ale na prawdę z tym skończyłam.

— Leah — szepnął Isaac, nawiązując do wypowiedzi przyjaciela. — Ma na imię Leah.



Rozdział 3.

Od spotkania z Isaakiem minęły dwa dni. Czterdzieści osiem godzin temu zostawiłam w zmieszaniu każdego, ot tak wychodząc z pomieszczenia, gdy tylko pojawił się *on*. Wszystkich prócz brata będącego przyczyną tego chaosu. Tyle cholernego czasu, gdy jedyne, na czym się skupiałam, to płótno i basen.

Konfrontacja z Leo, który poszedł za mną, jak tylko opuściłam jego przyjaciół, odbyła się bez emocji z mojej strony. A mój brat spodziewał się chyba właśnie zacieklej kłótni — tak zachowałyby się wybuchowa Leah sprzed czterech lat. Ale tej dziewczyny już nie było.

— *Nie powiedziałeś mi o moim powrocie* — stwierdziłam chłodno, wpatrując się w nocne niebo.

— *Chciałem.* — *Leo przeczesał włosy palcami. Niemal wyczuwałam jego poczucie winy.* — *Ale nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać. Czego się po was spodziewać. Sądziłem, że w tej sytuacji zaskoczenie będzie najlepszym rozwiązaniem.*

Dzień wyjazdu do Kanady przemknął mi przed oczami wraz ze wspomnieniem paniki, jaka mnie wtedy ogarniała.

Nie byłam przygotowana na wyprowadzkę; żadne z nas nie było na nią gotowe.

— *Uwierz mi, zaskoczenie nigdy nie jest dobre* — odparłam.

Okręciłam na palcu kluczyki do samochodu, po czym założyłam okulary przeciwsłoneczne.

Naprawdę byłam wdzięczna Leo, że ponad rok temu podczas jednej z przerw świątecznych namówił mnie na zrobienie prawa jazdy, bo teraz nie musiałam się męczyć z jego wyrabianiem. Jako że nie

miałam swojego auta, byłam skazana na łaskę brata, niemniej dzięki temu, że na treningi futbolu jeździł wspólnie z kumplami, w tym czasie mogłam bez przeszkód korzystać z jego samochodu. Ten dzień nie był wyjątkiem.

Przemierzałam ulice Los Angeles, jak co dzień przeklinając pod nosem temperaturę. Nawet bawełniane szorty i top do kompletu nie ratowały mnie przed upałem. Włączyłam kierunkowskaz i skręciłam tuż przed centrum handlowym. Nawigacja w telefonie wskazywała, że jestem blisko punktu docelowego, czyli małego sklepu malarskiego. I owszem, trzy minuty później stanęłam tuż przy niewielkiej wystawie, na której widziałam wszystko, czego potrzebowałam.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych oznajmił moje przybycie.

— Dzień dobry, czy mogę w czymś pomóc? — przywitała się ze mną szczupła kobieta za ladą.

Mogła mieć nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat, przy czym wciąż wyglądała pięknie, dostojnie i na swój sposób elegancko. Po prostu było coś w samej jej postawie: wyprostowane ramiona, uniesiona broda.

— Potrzebuję dwóch tubek białej farby olejnej — powiedziałam, opierając się biodrem o szklany kontuar.

Potaknęła z delikatnym uśmiechem i ruszyła w stronę drewnianych półek przy oknie. W tym czasie przyjrzałam się regałom wypełnionym dziesiątkami kolorów; gama odcieni była tak bogata, że aż przytłaczała. W swoich pracach ograniczałam się jednak do szarości i czerni.

— Coś jeszcze? — odezwała się sprzedawczyni, gdy wróciła z farbami.

Zaprzeczyłam, sięgnęłam po portfel i rzuciwszy ostatnie spojrzenie życzliwie uśmiechniętej nieznajomej, opuściłam sklep.

To były moje ostatnie godziny pseudowolności, która miała skończyć się po powrocie matki.

Ruszyłam w kierunku Venice — zostawiłam auto na parkingu zlokalizowanym na wzniesieniu, by móc swobodnie spoglądać na bezkresne wody. Przyzwyczaiłam się do chłodu Kanady, ale brakowało mi właśnie

tej panoramy. Tego punktu widokowego, którym się zachwycano i który niegdyś miałam pod nosem na co dzień. Promenady, na której zawsze można było spotkać stałych bywalców — malarzy i innych artystów. To było bogate źródło inspiracji.

Oparłam się o maskę samochodu, krzyżując nogi w kostkach, podczas gdy ludzie biegali w nieznanych mi kierunkach — zajęci sobą, pochłonięci pędem życia. A pośród tego wszystkiego tkwiłam ja: dziewczyna wychowana w złotej klatce. W tej chwili fizycznie czułam, jak jej drzwi znów się zamykają...

Odeszłam od auta, przeszłam przez parking, przy którym znajdowały się kawiarnie oraz butiki, i zeszłam ścieżką prosto na rozgrzany piach. Z każdym krokiem zapadałam się w piasku, póki nie doszłam do mokrego brzegu. Wzdrygnęłam się na nagłą zmianę temperatury pod stopami, kiedy woda oblała moje kostki i stopniowo sięgała wyżej. Jak dziecko po raz pierwszy widzące ocean zanurzyłam w nim dłonie. Wzburzone fale prawie załały mi ubranie.

Wycofałam się i zaczęłam brnąć przez rozmokły piasek, gdy go dostrzegłam. Widok Isaaca nie powinien mnie zaskoczyć, ale wydało mi się to czymś kompletnie odrealnionym. Nie widziałam go przez cztery lata i nagle patrzyłam na niego po raz kolejny. Tyle że to przestało mieć dla mnie znaczenie.

Spoglądaliśmy na siebie, szukaliśmy resztek czegoś, co powiedziałoby nam, że nie jesteśmy sobie obcy. Zauważyłam w sobie nieznane mi uczucie. To nie był *mój* Isaac. Już dawno nie należał do mnie.

— Niepotrzebnie wracałaś — wypowiedział te dwa słowa beznamiętnym tonem.

Powinno boleć. Gdzieś w moim wnętrzu powinno nastąpić jakieś rwanie. W sekundzie, w której dowiedziałam się, że będę musiała przylecieć do Los Angeles, świadomość, że mogę coś poczuć, okazała się moim najgorszym koszmarem. Obawiałam się, że zastygła bryła emocji stopi się bez mojego pozwolenia i wszystko ożyje na nowo.

Teraz spoglądałam w jego szare tęczy i utwierdzałam się w przekonaniu, że przestałam się przejmować. Naprawdę skończyłam

z zastanawianiem się, co robił i gdzie był Isaac. Nie rozmyślałam już nad tym, czy za mną tęsknił ani czy wciąż jesteśmy dla siebie ważni. Po prostu te kwestie już mnie nie obchodziły. I to było wyzwalające.

— Gdybym miała coś do powiedzenia, nigdy bym tu nie wróciła — odparłam, mijając wytatuowanego chłopaka.

Kiedy odchodziłam, czułam na sobie wzrok Isaaca — zupełnie jakbym cofnęła się w czasie do tamtego dnia, gdy widzieliśmy się po raz ostatni przed moim wyjazdem. Tylko że wtedy żadne z nas nie było świadome jednego: nadchodzącego nieubłagania końca.



Zeszłam po schodach z zawieszonym na ramieniu skórzanym plecakiem pasującym do lnianej koszuli. Na parterze unosił się zapach świeżo parzonej kawy, która obecnie była moim zakazanym owocem. Poprzedniego wieczoru wzięłam tabletkę nasenną, a to nie pozwalało mi dziś sięgnąć po żadne napoje energetyczne.

— Możesz kupić sobie coś w szkole? — zapytał Leo, wybiegając z kuchni z kubkiem w dłoni. — Właśnie dowiedziałem się o obowiązkowym spotkaniu z trenerem.

Wzruszyłam ramionami i chwyciłam jabłko, które miało posłużyć mi za śniadanie.

— Nie ma problemu — mruknęłam.

— Zdążyłem zaparzyć ci kawę — powiedział. Podał mi kubek termiczny, gdy wsuwałam stopy w mokasyny.

— Ograniczam kofeinę.

Fakt, że odkąd tu przybyłam, popijałam kawę każdego poranka po nieprzespanej nocy, nie działał na moją korzyść.

Brat zmarszczył w skupieniu brwi, ale nie skomentował mojego oświadczenia. Stwierdził tylko, że sam skorzysta. Ramię w ramię opuściliśmy dom i skierowaliśmy się do stojącego na podjeździe samochodu. Wnętrze było nagrzane od słońca i szybko zaczęłam żałować, że pojazd

nie stał w garażu. Gdy tylko Leo odpalił silnik, opuściłam szyby, pozwalając, by przez resztę drogi do szkoły wiatr rozwiewał mi włosy.

Chyba nie potrafiłam niczego nam ułatwić, a mój brat wydawał się za wszelką cenę robić to za mnie. Był dobrym człowiekiem — miałam tego pełną świadomość. Nawet w dzieciństwie, kiedy rodzeństwa zwykle kłóciły się o każdą drobnostkę, on chciał dla mnie jak najlepiej. Nie byłam jego irytującą siostrą, której się wstydził. Zależało mu, żebym zaprzyjaźniła się z jego lalusiowatymi przyjaciółmi, podczas gdy ja wolałam spędzać czas z kimś innym. Nie odbierałam jego starań jako prób ustawienia mnie do pionu. Zwyczajnie chciał, bym była blisko niego. Taki był Leo Preston: dobroduszny od zawsze, chociaż we wnętrzu naszego domu rodzinnego szalała zaraza sztuczności.

— Cholera, miałem ci pomóc z całym tym papierkowym syfem — mruknął po tym, jak zmienił bieg, gdy zapaliło się zielone światło.

Przewróciłam oczami.

Było mi obojętne, czy zmierzę się z tym sama, czy z nim. Nie czułam podekscytowania ani zdenerwowania na myśl, że ponownie będę tą nową. Chciałam po prostu wtopić się w tłum i nie wychylać.

— Jestem dużą dziewczynką, bracie. — Parsknęłam, wpatrując się beznamietnie w stojący przede mną budynek. — Poradzę sobie.

Jak zawsze.

Wysiadłam z samochodu i pożegnałam się z Leo, który kazał do siebie pisać, gdybym miała jakieś problemy.

Pięć minut później opuściłam sekretariat z rozpiską zajęć i ruszyłam korytarzem w poszukiwaniu swojej szafki. Co jakiś czas czułam na sobie oceniające spojrzenia osób, które zauważały, że nie pasowałam do zwyczajowej rzeczywistości szkolnej. Każdą z nich konsekwentnie lekceważyłam, aż dotarłam do celu. Zabrałam kilka książek, które Leo polecił, argumentując, że na pewno będą mi potrzebne, niezależnie od wymagań nauczyciela. Zgodnie z planem teraz miałam matematykę z profesorem Fibre'em. Wskazówki mojego braciszka były gównie w obliczu chaosu i ogromu tej placówki, ale jakimś cudem trafiłam pod odpowiednią klasę spóźniona tylko o niecałe dwie minuty.

Z serii „jak pozostać anonimową”: wejdź do zapelnionej sali i skup na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

— Następną spóznialska do kolekcji. — Nawet nie zdążyłam się przywitać, gdy nauczyciel odezwał się burkliwym głosem. Wskazał palcem na krzesło przy oknie, w stronę którego powoli ruszyłam. — Mam nadzieję, że nazwisko zobowiązuje i nie jesteś kolejną kopią Ciredman.

Podążyłam za jego wzrokiem, który spoczął na długowłosej blondynce; dziewczyna posłała mężczyźnie prowokujący uśmiešek. Zapewne to o niej wspominał kumpel Leo.

— Uwielbiam pana komplementy — mruknęła kpiąco tuż po tym, jak zajęłam krzesło dokładnie rząd za nią.

Tatuaże pokrywały większą część jej skóry — róże ciągnące się od ramion po obojczyki przyciągnęły moją uwagę, gdy tylko weszłam do klasy. Swoją postawą pokazywała zdrową pewność siebie — nie wyglądała na złośliwą dręczycielkę. Bił od niej chłód, który idealnie pasował do aury chłopaka siedzącego w ławce obok niej. Kolejny ładny wytatuowany i umięśniony zły chłopiec do kolekcji? Cóż za ironia! Nieznajomy siedział zwrócony w stronę znanego mi osobnika. Isaaca.

Świadomość, że przez najbliższe pół roku praktycznie każdego dnia będę musiała oglądać jego twarz, sprawiała, że ogarniało mnie uczucie, którego nie potrafiłam nazwać. Coś w całej tej mojej obojętności się nie zgadzało — jakby obecność Isaaca stanowiła przypomnienie tego *prawie* między nami; tej przyszłości, która nie nadeszła.

Równy z dzwonkiem chwyciłam swoje rzeczy, chcąc jak najszybciej opuścić salę. Po prostu im krócej będę widywała Isaaca, tym lepiej. Dla nas obojga.

Przez kolejne godziny trwałam w zawieszeniu dzięki słuchawkom i kartkom szkicownika. Ludzie zaczęli mi się przyglądać, zapewne dlatego, że plotka o moim pokrewieństwie z Leo docierała do coraz szerszej publiki.

Obserwowanie wszystkiego z pewnej odległości — bez znajomości, stereotypów, wiedzy na temat podziałów społecznych — było ciekawym doświadczeniem. Nie zajęło mi dużo czasu zorientowanie się,

że szkolna hierarchia zaczyna się i kończy na wytatuowanym duecie, który widziałam na matematyce. Byli kimś w rodzaju *złotej pary* w krzywym zwierciadle — zdystansowani, ale na swój sposób podobni. Wyglądali na osoby przyciągające kłopoty. Aby to stwierdzić, nie trzeba było rozległej wiedzy czy znajomości zbędnych faktów. Takie rzeczy po prostu się czuje. Chyba że jest się ślepym idiotą.

— W końcu cię znalazłem. — Znajoma postać pojawiła się przede mną w sekundzie, gdy odwróciłam się od metalowych drzwiczek szafki. — Pierwsza przerwa na lunch oznacza zamieszanie, więc przybyłem z odsieczą.

Przewróciłam oczami.

— Która jest zbędna, braciszku. — Westchnęłam. — To, co powiedziałam podczas spotkania z twoimi przyjaciółmi, było dokładnie tym, co miałam na myśli. Niepotrzebne mi zamieszanie wywoływane przez waszą grupkę.

— Dramatyzujesz — skwitował i wskazał na kogoś za moim ramieniem. — Ona jest kwintesencją zamętu.

Podążyłam za jego wzrokiem i napotkałam otoczone grubymi rzęsami oczy. Hope z bliska wydawała się nie tylko jeszcze ładniejsza, ale też chłodniejsza, jakby swoją postawą chciała trzymać ludzi z daleka. Nasze oczy spotkały się i uderzył mnie kontrast kolorów — niebieska głębia zderzyła się z brązową. Dziewczyna wpatrywała się we mnie, wyraźnie czekając, aż odwrócę wzrok.

Niedoczekanie.

— Już rozumiem, co mieli na myśli. — Uniosła brew, mrucząc pod nosem.

Na chwilę obojętność zastąpiło na jej twarzy pewnego rodzaju zadowolenie.

— Leah, poznaj słynną — podkreślił Leo — Hope Ciredman. — Głos mojego brata był przesiąknięty ironią.

Dziewczyna posłała mu krzywy uśmiešek, by ostatecznie spojrzeć na mnie.

— Witaj w pieprzonym świecie pełnym kłopotów. — Gdyby diabeł mógł tkwić w czyimś uśmiechu, z pewnością znalazłby się w jej. — Uwierź mi, trzymanie się z dala od problemów jest niemożliwe. Próbowałam. Nie-wykonalne w otoczeniu przyjaciół twojego braciszka. — Z tymi słowami prześmiewczo zasalutowała, nim ruszyła w stronę wyjścia ze szkoły.

— Hope też lubi dramatyzować — skwitował Leo, wzruszając ramieniem. — Macie ze sobą coś wspólnego.



Półtorej godziny później, z dala od zgrai przyjaciół brata, nareszcie mogłam zakończyć ten dziwny dzień. Dzięki temu, że Leo pojechał na trening, dostałam kluczyki do samochodu na wyłączność. Zadowolona z rozwoju wydarzeń szłam przez parking z okularami nisko osadzonymi na nosie.

Zajęłam miejsce kierowcy, dopasowałam fotel do swojego wzrostu i dopiero przy ustawianiu lusterek zwróciłam uwagę na odbijającą się w nich trójkę nastolatków. Hope siedziała na masce wiśniowego auta ze stopami opartymi o oponę, śmiejąc się z czegoś, co powiedział wytatuowany brunet — łatwo rozgryzłam, że Asa McLean to idol uczenic Loyola High School. Usłyszenie jego imienia jakieś dziesięćnaście razy wystarczyło. Tuż obok niego znajdował się chłopak, którego twarz zdobił półuśmiech. Nawet z odległości mogłam wychwycić ten drobny fakt. Obaj trzymali papierosy, jakby nie znajdowali się na środku szkolnego parkingu.

Ta, życie na krawędzi.

Jakimś cudem, gdy tuż po odpaleniu silnika byłam bliska ucieczki, oczy Isaaca powędrowały w moją stronę. I może spotkałyby się z moimi. Gdybym tylko nie docisnęła gazu i nie opuściła piekła, w którym zostałam uwięziona jedynie po to, by trafić do jeszcze gorszej otchłani. Swojego domu.

— Co ty najlepszego zrobiłaś ze swoją twarzą?!

Takie przywitanie po miesiącach nieobecności było możliwe wyłącznie u Prestonów. I nie, to pytanie nie było wyrazem szoku. Wyczułam w nim obrzydzenie i wściekłość.

— Witaj, matko — powiedziałam z wyważoną nonszalancją.

Gdybym jednym słowem mogła określić Jessicę Preston, byłoby to: jędza. Gardziłam własną matką i nie czułam z tego powodu ani krzty wyrzutów sumienia, bo ta kobieta była dwulicową diabolicą — najgorszym, co spotkało mnie w życiu. Odebrała mi *wszystko*, twierdząc, że zrobiła to przez moje wybryki. Jednakże sedno problemu tkwiło zupełnie gdzie indziej: w jej spaczonym umyśle.

To nie było gadanie rozpieszczonej smarkuli, która nie dostała najnowszego modelu iPhone’a, więc mściła się na rodzicielce. Były to wyrzuty dziecka, tego cienia sprzed lat, które nie zaznało ze strony matki choćby iskry czułości.

Niestety *prawda przeszłości* wyglądała dużo gorzej, a gdy ją odkryłam, już nic nie było takie samo.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Z barwnego lekkoducha, jakim była Leah Preston, niewiele pozostało.
Nikt ze znajomych jej nie poznaje. Jest pełna chłodnego dystansu.
Wyprana z uczuć. Zamknięta na ludzi, otwarta jedynie na sztukę.
Po czterech latach nieobecności wraca do Kalifornii — do demonów,
o których sądziła, że dawno zniknęły. Do tego jednego jedynego chłopaka,
któremu kiedyś oddała serce.

Isaac Cloney był jej pierwszą miłością. Tą, która ją złamała.
Dawna Leah, słodka i naiwna, kochała Isaaca całą sobą, dziś czuje jedynie
nienawiść i pragnie wymazać go z pamięci... Tyle że to nie jest proste, jeśli się
chodzi do tego samego liceum i widuje niemal codziennie.

POZNAJCIE NOWĄ POWIEŚĆ C.S. RILEY

AUTORKI DOSKONALE PRZYJĘTEGO DEBIUTU

BAD BOYS BRING HEAVEN —
PRAWDZIWEJ SPECJALISTKI
OD TRUDNYCH UCZUĆ!

PATRONI MEDIALNI:



 **editio**red / editio.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-8243-5



cena 44,90 zł